

Warszawa dnia 28 Czerwca / 10 Lipca 1867 roku.

Nr 28. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji na stacjach pocztowych 75 kop. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok III.

TREŚĆ.—**Święty Czesław**, przez *Franciszka Gumowskiego*, (z drzeworytem).—**Litanja do Matki Boskiej**, poezja, przez *Adama Pługa*. — **Karczma w lesie**, opowiadanie, skreślił *Wołody Skiba*, (ciąg dalszy).—**Zaczarowane jezioro na wyspie Manilla**, przez *Kazimierza Mejera*, (z ryciną).—**Stanisław Konarski**, przez *Leona Rogalskiego*, (dokończenie).—**Korrespondencja od Redakcji Opiekuna Domowego.**—**Rozmaitości.**—**Podsłuchane gdzie się zdarzy**, (z drzeworytem).

ŚWIĘTY CZESŁAW.

Święty Czesław, rodak nasz, pochodzący ze sławnéj i starożytnéj w Polsce familji Odrowążów, urodził się na schyłku XII-go wieku. Już od najpierwszych lat swego dzieciństwa odznaczał się wielką pobożnością, skromnością i gorliwością w służeniu Bogu i w wypełnianiu wszystkich Jego nakazów i ustaw. Podrósłszy w młodzieńcze lata, razem z bratem swem Jackiem wysłany został dla ukończenia edukacji do szkół w Paryżu, a potem do Bononji. Kiedy zaś z nabytym zasobem nauk wrócili ztamtąd do kraju, stryj ich Iwo Biskup Krakowski, mianował ich Kanonikami Katedralnymi i jak się spodziewać było można, w krótkim bardzo czasie mogliby byli dojść do najwyższych w stanie duchownym godności i zaszczytów. Lecz błyskotki i próżne honory nie miały dla nich najmniejszego powabu i uroku; chcieli oni tylko naśladować Chrystusa i ze wstrętem odrzucali wszelką myśl nawet o dostojeństwach i bogactwach, co też niedługo ku wielkiemu swemu zadowoleniu, w czynie okazać mogli. Iwo jadąc do Rzymu, wziął ich także ze sobą, gdzie poznali się z będącym tam naówczas Św. Dominikiem. Sława tego znakomitego obrońcy Kościoła, rozbiegła się szeroko po wszystkich krajach. Jego prace, jego gorliwość apostolska, a nadewszystko jego wymowne nauki i kazania, zjednywały mu tysiące przyjaciół i zwolenników. Cóż więc dziwnego, że i nasi pobożni rodacy poszli za tym ogólnym prądem i uznaniem? Czesław, Jacek i dwaj ich słudzy Henryk i Herman, poznawszy całą ważność usług, jakie nowo ustanowiony Zakon Dominikanów oddać może sprawie Religji i Kościoła, zrzekli się swoich Kanonij i sami przyjęli habit klasztorny z rąk Ś-o Dominika. Jacek z Hermanem wrócili do Polski, a Czesław i Henryk udali się do Czech, gdzie w stołecznem mieście Pradze pogodzili najprzód Króla Ottokara będącego w wielkim sporze z Biskupem Andrzejem.


Święty Czesław.
(Rysował Tegazo—drzeworyt z pracowni Stifiego).

Ale nie dość było Św. Czesławowi w jednem tylko miejscu nauczać: chciał on aby jak najwięcej ludzi go słuchało—chciał, aby ci wszyscy co jeszcze na błędnej znajdują się drodze, poznali istotną prawdę i do wykonywania jéj raz przecież jak się należy przystąpili. W tym celu zwiedził Morawy, Saksonją, Prussy i Pomorze, a wszędzie żył z nadzwyczajną przykładnością i świętobliwością, każąc tak żarliwie i z takim zapałem, że niezliczone tłumy słuchaczów z rozrzewnieniem zawsze kazalnicę jego otaczały. Nareszcie przybył do Wrocławia. Tu, postępowaniem swojem do tego stopnia zjednał sobie serca i umysły mieszkańców, że ci w pobożnem uniesieniu, pamiętni na łaski jakie im wyświadczał, jeszcze za życia Świętym go nazywali. Nie było ubogiego któregoby on nie wspomógł; nie było sieroty i kaleki którymby łez i bólu nie ujął; nie było jednego domu, któregoby nie pocieszył lub nie pobłogosławił. A kiedy jeszcze Tatarzy, dzicz Azjatycka, rozlawszy się jako szarańcza po całej natenczas Polsce, mordując i rabując po drodze, podstąpili pod sam Wrocław i kiedy cudownie za modlitwą Ś. Czesła-

wa, ze strachem od oblężenia odstąpili, — miłość i zapał Wrocławian ku niemu był już nie do opisania. Nadmienić tu także wypada, iż przez trzy lata był Prowincjałem swego zakonu, który to urząd piastował z prawdziwym duchowym pożytkiem dla podwładnych sobie braci i sióstr. Umarł 1241 roku, a grób jego zajaśniał licznymi pielgrzymami cisnącymi się doń z wiarą i ufnością, że próśb ich ukochany i świątobliwy Ojciec wysłucha, choćby po za mogiłą i że jak za życia tak i po śmierci łask im swych nie odmówi.

Podanie niesie, że gdy 1570 r. Wrocław się palił i gdy rozszalały żywioł wszystko niszczącym płomieniem zagrażał już prawie całemu miastu, na łzy i prośby przelękłych mieszkańców, Ś. Czesław miał się ukazać w powietrzu i cały groźny ogień zagasił.

Franciszek Gumowski.

LITANJA DO MATKI BOSKIÉJ.

Swięta Marjo! Matko Chrystusowa!
Panno Przeczysta! Łaskawa i Wierna!
Usłysz rzewliwej prośby naszej słowa!
Matko Najmilsza, bądź nam miłosierna!

Gdy w złej przygodzie rady nam potrzeba,
A nie poradzi żadna dusza żywa,
Radę skuteczną racz nam zesłać z Nieba,
O Ty *Stolico Mądrości* prawdziwa!

Gdy bez sił padniem, znużeni, złamani,
Ciężką przez życia pustynię podróżą,
Osłoń litośnie cierń każdy, co rani!
Cudownem kwieciem, o *Duchowna Różo.*

Gdy sroga niemoc rzuci nas na łoże,
Gdy jękiem każde naszych piersi tchnienie,
Gdy nic już ulgi przynieść nam nie może,
Ty nas podźwignij, *Chorych Uzdrowienie!*

Gdy ciągną tłumy pokus niezliczone,
Gdy w nich nam wieczna zguba już gotowa,
Ty daj bezpieczną przed niemi ochronę,
Ty bądź nam twierdzą, *Wieżo Dawidowa!*

Gdy w niebezpieczeństw bezdennej powodzi
Łódź naszę miota burza nieustanna,
Gdy przystań w mroku, a słońce nie wschodzi,
Oświeć nam drogę, o *Gwiazdo Zaranna!*

Gdy sprawiedliwym gniewem Bóg zapłonie
I strasznej kary zbliży się godzina,
O Matko nasza, spiesz nam ku obronie!
Ratuj nas, *grzesznych Ucieczko* jedyna!

Kiedy ze szczęścia ziemskiego wyzuci,
Stracim pociechę i otuchę wszelką,
Niechaj przez ciebie radość nam się wróci,
Ty *Utrapionych* bądź *Pocieszycielką!*

Śród wszelkich życia naszego kolei,
W trwodze, zwątpieniu, smutku i chorobie,
Bądź źródłem męztwa, wiary i nadziei,
Obronicielką ufających w Tobie.

Adam Pług.

KARCZMA W LESIE.

OPOWIADANIE

(*Ciąg dalszy*—patrz Nr. 27).

Ubrałem się więc w ciepły kożuch, wsiadłem do bryczki i puściłem się w drogę, zatknąwszy za pas parę pistoletów na konieczne żądanie Michała, który mi radził to uczynić na przypadek napaści złych ludzi, o których w wielkich lasach zawsze nie trudno, tymbardziej zaś łatwo było podówczas, bo w okolicy panowała bieda, a w ciężkich czasach zwykle się powiększa liczba amatorów cudzej własności.

Tym chętniej posłuchałem tej rady, że miałem dość znaczną summę—kilkaset rubli, przeznaczoną dla tych, co w młodych latach byli chlebodawcami mojemi.

Podróż ta była mi dziwnie przyjemną. Jeżeli Dante powiada, że nie ma większej boleści jak wspomnienie czasów szczęśliwych w nieszczęściu, ja powiedzieć mogłem i miałem prawo, że nie ma większego szczęścia nad wspomnienie dni cierpień i goryczy, gdy te cierpienia przebolały i szczęście trwalej nam się uśmiechać zaczyna.

Nie wiem co bardziej, czy wspomnienie czy kożuch zagrzewało krew w moich żyłach—dość że mi było ciepło i nie śpieszyłem się bynajmniej z przybyciem na miejsce.

Gwarząc z Michałem skręcaliśmy co chwila, pewni że nie zbłądzimy w labiryncie drożyn leśnych krzyżujących się z sobą co kilka staj; nie tylko bowiem mój woźnica miał dokładnie w pamięci topografją lasu, ale i mnie się zdawało, że poznaje stare dęby, buki, graby i klony, koło których niegdyś przechodziłem.

Nie potrzebuję mówić, że gdy mi się przypominała moja dawniejsza obawa wilczycy, uśmiechnąłem się mimowolnie. Czułem się teraz zupełnie tak pewnym siebie, jak przed dwunastu laty byłem pozbawionym tej pewności i mocno byłem przekonany, że mi się nic złego w tej drodze stać nie może, jak wówczas przebywałem ją najgłębiej przeświadczony, że mnie nic innego prócz strasznej a dawno przepowiedzianej śmierci nie spotka.

Dzień się już miał ku schyłkowi, gdy ukołysany jednostajnym ruchem bryczki, upojony rozkoszą co chwila nasuwających się przyjemnych wspomnień, wpadłem w jakiś stan błogi, z którego sobie nie zdawałem sprawy. Nie chciało mi się zrobić najmniejszego poruszenia, żeby się nie narazić na przykrość wyjścia z tego stanu jakiegoś dziwnego, nieopisanego spokoju.

Zdawało mi się, że Michał kieruje się w złą stronę, a już było czas jechać do karczmy, lecz zamiast mu powiedzieć o tem, nieporuszając się myślałem:

— Ha! zbłądzi to i odszuka drogi.

Po pewnym czasie Michał przechylił się na koźle, głowa jego mignęła się przedemną i nie zobaczyłem go więcej.

— Musiał spaść,—pomyślałem.

I w odrętwieniu w jakim się znajdowałem zdawało mi się, że kiedy tak się stało, to się inaczej widać stać nie mogło, ani się też odstać nie może.

— Spadł to spadł,—rzekłem do siebie i nie poruszyłem się nawet.

Koń pędził szybko i równo wązką między drzewami drożyną, co mnie jeszcze bardziej utrzymywało w przekonaniu, że do jazdy bryczką woźnica jest zupełnie zbyteczny.

Jechałem tak od kwadransa może, gdy nagle koń zarżał, stanął na miejscu, zaczął nogą kopać ziemię, a uszami strzydz niespokojnie.

Nie obudziło mnie to z odrętwienia w jakiem się znajdowałem. Nie myślałem ani o popędzeniu go, ani o badaniu tego co spowodować mogło oznaki jego niepokoju.

— Rży bo koń,— mówiłem sobie,— strzyże uszami bo mu ziębły, a stanął bo się zmęczył.

— Wszystko to było dla mnie bardzo naturalnem i jasnem, a bynajmniej nie wartem, żebym się dla tego poruszał.

Kasztanek po chwilowym spoczynku, puścił się na nowo galopem. Wypadało może go wstrzymać żeby sił na dalszą drogę oszczędził, ja przecież nie uznałem tego za stosowne.

— Widać wypoczął kiedy pędzi, myślałem.

Po niejakim czasie dało się słyszeć za mną jakoby echo oddalonego wycia wilków.

Zimny dreszcz przeszedł mi po ciele, włosy zaczęły mi stawać na głowie. Czułem że nagle zaczynam się bać wilków, tak jak się bałem kiedyś przed dwunastu laty.

Odrętwienie w jakim byłem tak długo, zamieniło się nagle w trwogę, w przerażenie.

Obejrzałem się i zdawało mi się, że w oddali za sobą spostrzegłem jakąś czarną plamę, nieznacznie przesuwającą się po śniegu.

Mimowolnie ręką sięgnąłem w zanadrze, gdzie miałem pistolety. Były na swojem miejscu nabite, gotowe do obrony mojego życia, gdyby mu groziło cokolwiek— czy jednak dostateczne do obronienia go w tym razie... Któż mógł mi powiedzieć?...

Kasztanek gnał ciągle ostatnich sił dobywając.

Długo tak pędziliśmy: ja zdając się na instynkt konia, koń ostatniem wysileniem pośpiechu śpiesząc tam, gdzie przeczuwał bezpieczne schronienie; czułem jednak, zdawało mi się może, że bieg kasztanka coraz wolnieje.

Plama czarna posuwająca się za mną, coraz bardziej się zbliżała. Od czasu do czasu oglądałem się za nią i niedługo rozpoznałem, ze się składała z pewnej liczby istot szarych pędzących po śniegu.

Nie uległo już wątpliwości—były to wilki.

Spojrzałem na kasztanka... dobywał ostatnich sił, ale widać było że słabnie.

Pragnąc mu ulżyć wyskoczyłem z bryczki, odprzągłem go w mgnieniu oka, w jednej chwili byłem na jego grzbiecie i gnałem dalej.

Od dziecka nie siedziałem na koniu na oklep, było mi jednak tak wygodnie, jakbym siedział na wygodnem siodle, przysiągłbym nawet że mam siodło pod sobą.

Jakiś przesądny strach mnie poganiał. Przypomniała mi się planeta, wszystkie przeszłe obawy żywcem stanęły przed oczyma i odradzały się w myśli. Napróżno walczyłem z niemi. Czułem, że nie bałbym się tyle niebezpieczeństwa które mnie ścigało, gdybym nie wiedział, że w planecie stały wyraźnie te tak głęboko w mej pamięci wyryte słowa: „...jeśli w dwudziestym drugim roku nie zje go wilczyca....” Pędząc jak strzała na kasztanku, odejmowałem w myśli rok w którym się urodziłem, od cyfry wyrażającej rok bieżący. Zdawało mi się żem się mylił, lecz zawsze wypadało mi fatalne 22, a ile razy wymówiłem tę cyfrę, ilekroć pomyślałem o niej, tylekroć mimowolnie oglądałem się na gnające za mną stado wilków i coraz spostrzegałem je bliżej.

Kasztan dobywał ostatnich wysileń; z nozdrzy i pyska spływała mu biała piana. Zdał się pędzić jak wiatr, nogami nie dotykał ziemi. Gdyby nie chrapanie dziwne, które co czas pewien wydawał, nie czułbym że mnie niesie, chyba po migających w moich oczach drzewach. A przecież mnie się zdawało ciągle że bieg jego wolniał i ustawał, bo nieprzyjaciel był co chwila bliżej.

Nie jestem tchórzem. Dzieckiem już będąc dałem dowody rezygnacji, zdania się na los i odwagi. Mam jednak żywą wyobraźnią i jeśli co na nią oddziaływa, łatwiej pokonywa moją odwagę niż bój wstępny. Otóż i tutaj do rzeczywistego niebezpieczeństwa łączyła się gra wyobraźni, która mi je daleko straszliwszem przedstawiała, niżby może było w istocie, gdybym potrafił sobie radzić i przesadzonym nie poddawał się obawom.

Las zdawał się nie mieć końca. Sądziłem, że ścigany przez wilki pędzę na mym kasztanku godziny całe, chociaż nie wiem czy kwadrans upłynęło od pierwszego ujrzenia ścigającego mnie stada—gdy mój koń potknąwszy się o kamień padł na ziemię, a ja zrzucony przez łeb jego, zwaliłem się na piaszczysty wzgórek.

Wilki były zbyt blisko żeby można było myśleć o podniesieniu kasztanka, którego siły zresztą były już zupełnie wyczerpane i o puszczeniu się na nim w dalszą drogę.

Jedyny ratunek pozostawał w zachowaniu dosyć obronnej pozycji do jakiej mnie los zwalił i w pistoletach, które miałem z sobą. Były one wprawdzie nabite, ale przez dziwną nieopatrzność nie wziąłem do nich więcej nabojów. Rozporządzałem tedy dwoma tylko strzałami; ręka moja lepiej władająca pędzlem niż bronią była niepewna, a broń w jaką byłem zaopatrzony nieznana mi zupełnie i w krótkiej tylko odległości skuteczna, w mej dłoni mogła być na bardzo niewiele przydatną. Zresztą byłem cokolwiek zasłonięty przez naturalny wał jaki stanowiło małe wzgórze, za którem się znajdowałem i przez ciało kasztana, który wiernie mi służąc do ostatniej chwili, miał teraz oddać życie, ażeby odwlec na mgnienie oka tylko może, grożące niebezpieczeństwo.

Wilki nadbiegły szybko na miejsce gdzie tak słabo ufortyfikowany, bronić się miałem przeciw kilkunastu napastnikom dwoma strzałami i dwojgiem rąk, które po zużyciu tych strzałów zupełnie zostawały bezbronne.

Pierwszym strzałem ugodziłem w pierwszego z napadajacej gromady, który przyszkoczył i chciał szarpać bezwładne ciało mego dogorywającego wierzchowca.

Strzał był celny nadspodziewanie. Wilk zatrzymał się w miejscu, potem cofnął parę kroków, zawył i padł na śnieg.

Klęska ta jednak nie wstrzymała innych. Drugi wilk miał za chwilę zacząć to samo, co się pierwszemu nie powiodło.

Zostawał mi tylko jeden strzał. Rostropność radziła może zachować go na ostatnią chwilę, gdy mnie samemu nieuniknione zagrozi niebezpieczeństwo; w takiej chwili jednakże jaką przebywałem wówczas, nie słucha się rad i rozwag.

Pociągnąłem za cyngiel i w tej samej chwili uczułem dziwny ból w nodze. Ręka mi drgnęła, a z nią i pistolet, wystrzał padł, lecz bez szkody dla wilków.

Byłem bezbronny.

Błyskawicznym rzutem oka chciałem się przekonać, co było przyczyną bólu jakiego doznałem w chwili strzelania, bólu co konwulsyjnie wstrząsnął moją ręką i sprawił, żem chybił strzelając.

Ten piorunowy rzut oka pokazał mi całą doniosłość grożącego mi niebezpieczeństwa.

Podczas gdy jedne z wilków wstępnym bojem rzucały się na konia, kilka innych obiegło wzgórek, który mnie zasłaniał i z tyłu uderzało na mnie.

W chwili wystrzału, jeden z nich szarpnął mnie za nogę.

Widząc się obskoczonym przez wilki, bezbronny, nie przewidując znikąd najmniejszej nadziei ratunku, traciłem przytomność; czułem że mi krew w żyłach zamiera, że mi tchu w piersi brakuje, omdlałem z przerażenia i padłem bezwładny na ziemię.

Niech ten kto nigdy w życiu nie zadrżał, nazwie mnie tchórzem i rzuci na mnie wyrok potępienia.

Ostatnie wrażenie jakie padając bezprzytomny zdołałem zapamiętać, było zupełnie takież samo jak owo, którego doznałem dwanaście lat przedtem, w tym samym lesie, a może nawet na tem samem miejscu. Zdawało mi się, że zimny język zwierzęcia dotykał mojego policzka.....

Była już noc, gwiazdy iskrzyły się na niebie, księżyc majestatycznie unosił się po nad lasem, kiedy otworzyłem oczy i przyszedłem do przytomności.

Zrazu nie pojmowałem gdzie jestem, dopiero poszarpane ciało kasztana, oświetlone przedzierającemi się przez gałęzie drzew promieniami księżyca, przypominało mi całą scenę, której byłem aktorem.

Próżno łamałem głowę, aby zrozumieć co mnie ocaliło, byłem bowiem zdrów i cały i dziwiłem się temu radośnie. Tylko w prawej nodze czułem wielki ból od pierwszego dotknięcia zębów wilczych— ból, który mi pozostał jakby na świadectwo, że nie z sennem widziadłem lecz z rzeczywistemi wilkami miałem do czynienia, inaczej bowiem nigdybym temu nie uwierzył.

Na wszystkie zapytania jakie sobie zadawałem pragnąc pojąć co mnie zachowało przy życiu, jeden tylko wyraz: „Opatrzność" był odpowiedzią.

Że jednak człowiek stara się zawsze wszystko nadzwyczajne po ludzku sobie tłumaczyć, więc i ja także pótym badał i dumał póki nie wpadłem na myśl, która mi się zdawała prawdopodobną.

Myśl ta nie była nową, była ona echem historji starożytnego Androklesa, którego rzucono na poszarpanie lwu zgłodniałemu, a lew go ruszyć nie chciał, przez wdzięczność za wyświadczoną mu dawniej przysługę. Tysiąc innych historij o wdzięczności zwierząt, które mi się przypominały jedna po drugiej, przemawiało za możliwością mego przypuszczenia, tak że bez względu na zarzuty jakie temu domysłowi zrobićby można, byłem najmocniej przekonany, że był prawdziwym...



Jezioro na wyspie Manilla. (Drzeworyt paryski).

— Ocaliłem kiedyś wilczycę—myślałem,—któż wie, czy nie jej teraz życie zawdzięczać powinienem?

(Dokończenie nastąpi).

Zaczarowane jezioro na wyspie Manilla.

Nie jeden z nas zapewne z ciekawością nieraz i ochotą, słuchał opowiadań bajecznych o przerażających zdarzeniach

i strachach, lub z zajęciem czytając *Bajarza Polskiego*, mniemał i wierzył niejako po dziecinnemu w istnienie np. zaklętych królewnych za grzechy, okrutnych czarnoksiężników i t. p. I nie dziw, rzeczywiście odpowiedni bowiem rozwój umysłu owych bajkosłuchaczów, pomimowolnie nawet mógł ich skłaniać do tego.

Atoli rzecz ta, inaczej zupełnie przedstawiać się nam powinna. Zdarzają się bezwątpienia i wielkie nieraz nawet cuda na świecie, lecz te mogą jedynie tylko pochodzić od Wszechmocnego Boga; inne zaś, choćby zadziwiające i nie do wykonania na pozór niemożliwe, są po prostu tylko wypływem nadzwyczajnej zręczności kuglarzy. Iluż to z nas zaciekawiają np. obrazy przedstawiane przez zręcznego i przebiegłego magika, iluż to z nas wprowadzają one nawet w podziwienie? Ztąd też kuglarzowi lub mistrzom magji, przypisują zwykle związek z duchami, nazywając ich czarownikami i t. p. A jednak to jest rzecz wykonalna i potrzebuje tylko nauki, wprawy i niezmiernej zręczności. Nieraz po takiem przedstawieniu sztuk magicznych, może niejeden z was młodzi czytelnicy rad był ją powtórzyć, albo nawet powtarzał zaraz w domu widzianą na scenie, próbował ją wykonać, lecz nieudawała mu się jakoś zupełnie i ztąd też uważał ją za niepodobną do wykonania i jakby zaczarowaną. Ale niech tylko zastanowi się głębiej nad nią, dochodzi i bada jej istotę, a przedewszystkiem niech tylko pozna niezbędną w tym względzie naukę o sztukach magicznych, czyli naukę Magji wraz z jej główniej pomocniczemi, jak Fizykę i Chemję, a zapewne przy pracy i temu będzie w stanie zaradzić. Zaspokoiwszy zaś swoją ciekawość, tem lepiej przekona się i uwierzy, tudzież przyzna otwarcie, że nie ma znów tak strasznych rzeczy i niepodobieństw z samych siebie na świecie, lecz że wszystkiem kieruje Stwórca, jako Pan Wszechrzeczy. Uzna z drugiej zarazem strony doniosłość ludzkiego badawczego umysłu, który w najskrytsze nawet tajniki świata wejść pragnie i z wszystkiego na pozór niepodobnego, stara się wywieść prawdziwe i zrozumiałe konsekwencje.

Atoli i tu jest granica i tu zakres ludzkiego rozumu się kończy, a po za tę jakby demarkacyjną linję, przejść mu nie wolno!... Toż samo się dzieje i w świecie zewnętrznym, gdzie także wiele zjawisk nadprzyrodzonych i często trudnych do wytłumaczenia się przedstawia; ztąd też zowiemy je zwykle zaczarowanemi i t. p. nazwami, nie mogąc ich często uzasadnić i wytłumaczyć sobie naukowo.

Najczęściej jednak zabobonne przywiązywanie pewnych nadprzyrodzonych zjawisk rzeczom, spotykać można szczególniej u ludów otoczonych w około siebie wspaniałą Przyrodą i żyjących w niej tylko, a do których światło wiekuistej prawdy, zupełnie albo bardzo mało jeszcze zapuściło swe oświecające i ożywcze promienie.

Do takich też społeczeństw w ogóle, należy zaliczyć i mieszkańców wyspy *Manilla*, którzy jednemu ze swych jezior, zupełnie prawie niedostępnemu, nadali miano „zaczarowanego", a którego opisem, zajmiemy się poniżej.

W południowo - wschodniej części Azji, na oceanie Wielkim, znajdują się wyspy znane pod ogólną nazwą *Wysp Filipińskich*, należące do Hiszpanji. Odkrytemi one zostały w 1521 r. przez znakomitego żeglarza portugalskiego Magellen'a [1]) służącego wtedy Hiszpanji i nazwane Filipiń-

---

[1]) Ferdynand Magellan żeglarz portugalski, w skutek nieporozumień ze swoim Monarchą Emanuelem, opuścił Portugalją i wszedł do służby Karola I (V) Króla Hiszpanji. Ztąd przedsięwziął pierwszą podróż na około świata, wypłynąwszy z portu Sevilli na rzece Guadalkwiwir w 1519 r. atoli u brzegów wysp

skiemi dla zasług Filipina, następcy wtedy tronu hiszpańskiego pod imieniem Filipa II. Aby bliżej poznać ludność zamieszkującą te wyspy, dosyć będzie przytoczyć wyrazy jednego z ówczesnych żeglarzy, który się o nich w te słowa odzywa: „Mieszkańcy tych wysp ujrzawszy nas (Europejczyków) przestraszeni uciekli i donieśli swemu naczelnikowi, że przybyli jacyś ludzie z cienkim i ostrym ogonem, jedzący kamienie i pijący ogień, który im z nosa wychodzi.” Wzięli oni morskie suchary za kamienie, szpadę za ogon, a fajkę z tytoniem za ogień. Największą jednak i najpiękniejszą z tych wysp, jest Lucon inaczej Manilla zwana, do 1760 mil kw. powierzchni obejmująca [1]. Grunt na niej żyzny i dostącznie zroszony, przedstawia tak wspaniałą zwrotnikową roślinność, że ta śmiało może się równać bujnej wegietacji Jawy i Brezylji. Trzcina cukrowa, kawa, bawełna, ryż, tytoń i w ogóle różne wyłączne gorącym krajom owoce, w dostatecznej obfitości się na niéj znajdują.

Czerwone i czarne drzewa, palmy, bambusy, cedry, ciągną się tu nieskończonemi prawie alejami, stanowiąc niejako olbrzymie lasy. Lasy te, bywają znów naprzemian urozmaicane to roszkosznemi zielonemi polami, to pięknie się oku przedstawiającemi wioskami. Prócz tego, wyspy te obfitują w znaczną liczbę gór, między któremi znajdują się wulkany czyli góry ogniem buchające.

Jezioro nawet zwane przez Manilczyków (którego rysunek tutaj podajemy) „zaczarowanem,” utworzyło się wedle podania, przy silnem trzęsieniu ziemi od przewrotu ogniobuchającej góry. Brzegi jego są nadzwyczajne kręte i gęsto zarosłe krzakami, zaczarowanem zaś nazwali go dla tego, że bardzo jest niebezpiecznie na niem pływać, z powodu wielkiej ilości znajdujących się tam krokodylów, które przewracają łódki i wpadłych w wodę ludzi pożerają. W celu uchronienia się od takiego niebezpieczeństwa, pływają zwykle po tem jeziorze w wydrążonych pniach, silnie związanych z sobą bambusem i postronkami; tak bowiem zbudowane łódki, nie łatwo się mogą przewrócić.

Z osad i miast na tej wyspie, na główną uwagę zasługuje miasto Manilla, (w 1571 r. przez Hiszpanów założone i objęte w posiadanie) stolica wszystkich wysp Filipińskich. Mieszkańcy tamtejsi prowadzą nawet dosyć znaczny handel z Europą; z Manilli bowiem wywożą cukier, indygo, arak, drzewo i znane wyborne cygara. Domy stolicy są po większej części dwupiętrowe, lecz budowane z desek niejako w ten sposób jak u nas zwykłe szopy, a to dla tego właśnie, że często powtarzają się tam trzęsienia ziemi.

W miejsce szyb wkładają w okna muszle z perłowej macicy w celu niedopuszczenia zbytniego gorąca, które nieraz jest tak wielkie, iż przez cały dzień nie można wyjść na ulicę. W południe też szczególniej, prawie wszyscy mieszkańcy tamtejsi zamykają się w swych domach i śpią przez kilka godzin, a wtedy na ulicach zupełna cisza panuje; poczem znów przed wieczorem wszystko się ożywia i każdy wśród miłego chłodu, na nowo rozpoczyna swe prace. Ludnością przeważną na wyspie i w mieście Manilla, są Hiszpanie; przytem nie brakuje tam na indyjskich a szczególniej chińskich przybyszach, którzy właśnie stanowią tam najgłówniejszy żywioł przemysłowy i handlowy, miejscowej ludności.

Kazimierz Mejer.

STANISŁAW KONARSKI.

(Dokończenie.—Patrz Nr. 27).

W dawnych szkołach ucząca się młodzież grywała djalogi. Aby dać poznać sławne dzieła Kornela, Rasyna, aby lepszy smak w narodzie zaszczepić, aby tem skuteczniej wytępiać egoizm, a wzniecać przytłumiony zapał do cnoty i religji, Konarski założył przy konwikcie i teatr.

W roku 1743 niebezpieczna słabość przymusiła Konarskiego wyjechać do wód do Lotaryngji. Przyszedłszy tam do zdrowia, stawiony był przed królem Stanisławem Leszczyńskim, lecz gdy od niego prócz wielkich pochwał nic na rozpoczętą fabrykę konwiktu nie pozyskał, udał się do Paryża, gdzie za wstawieniem się królowej z domu Marji Leszczyńskiej, otrzymał od Ludwika XV dochody z pewnego opactwa przez lat kilka po dwa tysiące liwrów. W roku 1748 wróciwszy do Warszawy, pozyskał Konarski ze skarbu publicznego 1,200 dukatów na ukończenie budowy i różnych urządzeń w konwikcie, która to summa na opędzenie potrzebnych wydatków nigdyby nie wystarczyła, gdyby Konarski własnem usiłowaniem i zabiegami reszty nie zastąpił. Prymas Komorowski wyprawił go roku 1749 w sprawie nader ważnej do Rzymu, gdzie aż do połowy roku 1750 bawiąc i zlecenia mu danego dopełnił i dla zgromadzenia pijarów w Polsce ważne urządzenia u papieża wyjednał, iż ci odtąd z pod władzy generała swego w Rzymie wyjęci, wizytatora tylko bezpośrednio stolicy apostolskiej podległego otrzymali; była jemu nadaną władza poprawienia i przerobienia z radą starszych pijarów, dawniejszych ustaw zgromadzenia i szkół jego według potrzeby. Z wizytatorem i przybranymi najznakomitszymi z nauki i gorliwości o dobro publiczne członkami zgromadzenia swego, pierwiastkowe ustawy konstytucjami zwane i liczne kapitul prowincjonalnych uchwały—Konarski uporządkował, wyjaśnił, rozszerzył, do postępu nauk i ulepszonego w Europie dawania ich sposobu, do formy rządu i potrzeb kraju, zastosował. Dołączył nakoniec dawniej przez siebie napisane szczególne dla konwiktu ustawy, jako też przepisy tyczące się wysyłania młodych pijarów za granicę.

Zreformowane szkoły pijarskie zaczęły wnet nabierać w narodzie wielkiej wziętości, zwłaszcza zaś konwikt w Warszawie, pomiędzy szlachtą wyższą. Gdy się przedsięwzięcie to pijarom powiodło, jezuici w obawie aby im się wychowanie młodzieży wyższych stanów z rąk nie wysunęło, zaczęli także zakładać konwikty szlacheckie przy bogatszych i znaczniejszych kollegjach swoich, jakoto: w Wilnie Poznaniu, Warszawie, Ostrogu, Lwowie, Witebsku i posyłać młodych zdatniejszych zakonników swoich na wyższe nauki do Niemiec, Francji i Włoch. Tak naprzykład Franciszka Bohomolca wysłali do Rzymu, Adama Naruszewicza do Lyonu, Łojka do Francji i Włoch, Poczobuta do Pragi i wielu innych. Znaczniejsze kollegja zaopatrywali w narzędzia fizyczne, matematyczne, astronomiczne, zbiory historji naturalnej i w wyborniejsze dzieła naukowe: to wszystko tem łatwiej było im wykonać niż pijarom, bo opływali w bogactwa i dostatki wszelkiego rodzaju. W konwiktach ich szlacheckich uczono tego wszystkiego co w pijarskich; uczono zaś w wielu miejscach lepiej niż u pijarów, bo jezuici mieli w ręku więcej środków ułatwiających udzielanie nauk i więcej ludzi prawdziwie uczonych. Zmiany atoli tej instrukcji nie rozciągnęli jezuici do szkół swoich pospolitych: te zostawiono nietknięte w dawnym składzie, planie i trybie wykładania nauk. Nową metodę wychowania

Filipińskich został zabity przez tamtejszych wyspiarzy i zaledwie jeden tylko okręt z tej wyprawy powrócił do Hiszpanji w trzy lata po wyjściu z Sevilli.

[1]) Cała rozległość wysp Filipińskich, dochodzi do 3640 mil kwadratowych.

mieli jezuici tylko dla paniczów. We właściwych ich szkołach pozostał Alwar z ridimentami historycznemi i geograficznemi, z organizacją XVII wieku. Wszakże i do tych szkół, od czasów Konarskiego wciskać się zaczął smak lepszy, mianowicie zaś w wymowie.

Prócz jezuitów naśladowali przykład Konarskiego Teatyni warszawscy, założywszy sobie konwikt szlachecki przy ulicy Długiej, w domu późniejszym Elerta. Nawet akademje Zamojska i Krakowska, zamiast podźwignąć u siebie obsadzeniem katedr uczonymi i biegłymi w swoim zawodzie professorami, zamiast zaprowadzić reformę nauk podobną Konarskiemu po swoich kolonjach, zaczęły także naśladować przykład Konarskiego w zakładaniu konwiktów szlacheckich.

Konarski zaprowadziwszy ważną reformę w wychowaniu publicznem, wydał następnie dzieło: *O skutecznym rad sposobie* (Warszawa 1760, tomów pięć). — To dzieło oburzyło przeciw Konarskiemu, jak sam przewidywał, wielu nierozsądnej i rozhukanej szlachty, lecz znaleźli się prawi i mądrzy obywatele a między nimi ministrowie, senatorowie i pierwsze w kraju piastujący mężowie urzędy, którzy w listach do autora pisanych a w znacznej części przy pierwszym i drugim tomie tegoż dzieła wydrukowanych, usługę jego uwielbiając największych mu pochwał nie szczędzili. Co większa nawet, odtąd pomieszkanie Konarskiego stało się niejako ogniskiem mądrej i zdrowej rady. — Tu obywatele znakomici, pierwsi dygnitarze, w celu zasięgnięcia rady jego, zewsząd się zgromadzali. Król Stanisław August oceniając prace jego dla dobra spółziomków podjęte, gdy go nie chciwym żadnych godności i urzędów kościelnych znalazł, kazał na cześć tegoż męża wybić medal z wiele znaczącym napisem: *Sapere auso*, to jest temu, który mądrym być ośmielił się. Pomimo prac niezmordowanych i słabego zdrowia, Konarski doczekał lat podeszłych i umarł w 73 roku życia dnia 3 Siepnia 1773 roku, w Warszawie na Żoliborzu, gdzie dzisiaj cytadela, w konwikcie młodzieży przez siebie założonym. Krasicki następnym nadgrobkiem uczcił pamiątkę Konarskiego:

Ten co pierwszy zdziczałe ciął gałęzie wzniosłe,
I śmiał ścieżki odkrywać wiekami zarosłe,
Co nauki, co miłość kraju wzniósł i krzepił,
W cieniu laurów spoczywa, które sam zaszczepił.

Oprócz wyżej wymienionych, Konarski wydał jeszcze następujące dzieła: *O religji poczciwych ludzi* (Warszawa 1769). Jego oszczercy i zazdroszczący mu sławy, czerpali i wynajdywali w tem nawet dziele jakoweś powody do potępienia i ohydzenia go przed duchownemi i obywatelami; wystawiono go jako człowieka mającego wolniejsze zdania i pomówiono go o to w Rzymie. Konarski zamiast obrony, przełożył tylko tę książkę na język łaciński w Warszawie 1771 r. i samemu papieżowi Klemensowi XIV przypisując, podał do rozstrzygnięcia. Krok ten sprawił, iż czego nienawiść użyć chciała na poniżenie jego, to mu zjednało chwałę.

Po śmierci króla Fryderyka Augusta II, wydał dzieło pod tytułem: *Listy przyjacielskie,* we dwóch częściach (Warszawa 1733).

Lelewel mówi: W naprawieniu gustu, wyrugowaniu przesądów, rozszerzeniu światła i nauk, w polityce, moralności, towarzyskości, w zachęceniu do myślenia, pisania i udzielania się publiczności: wszędzie imię Konarskiego jest czynnem i niezmiernie wpływającem.

KORRESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



— *Panu A. w Suchedniowie.* na zapytanie zkąd poszło nazwisko ospy *krowiej*, odpowiadamy następnem krótkiem objaśnieniem. Jenner, sławny doktór angielski (ur. w. 1749 umarł w 1823 r.) zauważyły, że po wsiach ludzie zajęci dojeniem krów, (wspomniemy tu nawiasem, że w bardzo wielu miejsach zagranicą czynnością tą zajmują się mężczyźni), nie podpadali w ogólności chorobie ospy. Zajął się zatem badaniem wymion krowy i zauważył na nich krostki czyli pęcherzyki napełnione płynem zaraźliwym, właściwe tym tylko zwierzętom. Głęboki spostrzegacz wniósł z tego, że zaszczepienie przypadkowe jadu zawartego w tych pęcherzykach zabezpieczało od ospy. Tym sposobem zostało wynalezionem szczepienie ospy, zwane także *wakcynacją* od łacińskiego wyrazu *vacca*—krowa. Odkrycie to postawiło Jennera w liczbie dobroczyńców ludzkości i dało nowy dowód, jak wielkie pożytki umysł badawczy wyciągnąć potrafi z drobnych napozór i nieznaczących spostrzeżeń.

Jenner (czyta się *Dżenner*) zrobił swe odkrycie w r. 1796, po dwudziestu latach badań, doświadczeń i studjów. Ludzkość została zabezpieczoną od strasznej plagi, która dziesiątkowała narody przez długie wieki. Parlament angielski uznając niezmierną zasługę Jennera, który oddał na użytek publiczny tajemnicę, mogącą mu przynosić ogromne zyski, przyznał mu nagrodę narodową w ilości 20,000 funtów szterlingów, to jest około 130,000 rubli.

Drogocenne to odkrycie, jak wszystkie idee nowe, z początku walczyć musiało z przesądami. Ażeby skłonnić matki do poddawania swych dzieci szczepieniu ospy, rządy musiały z razu płacić pewną nagrodę, tym które przystaną na tę operację. Dzisiaj szczepienie ospy zostało ocenioném należycie i obecnie nie tylko że jest powszechnem we wszystkich krajach cywilizowanych, ale nawet uznaną została pożyteczność powtórnego szczepienia, czyli *rewakcynacji;* ospa bowiem zaszczepiona po kilkunastu latach traci w znacznej części swoją siłą ochronną.

— *Panu Zenonowi w Wielkiej wsi.* Wyraz *filozofja*, etymologicznie biorąc znaczy *miłość mądrości*, czyli poszukiwanie prawdy. Znaczenie filozofji określano w tysiączny sposób. Dziś rozumiemy przez nią znajomość rzeczy fizycznych i moralnych i istoty przyczyn i skutków. Obejmuje ona *logikę*, *metafizykę*, i *moralność*, ma zaś za przedmiot duszę, Boga i człowieka; dążność umysłu do zbadania prawd najwznioślejszych dała początek filozofji jako nauce.

W pojęciu moralnem nazywamy filozofją tę stałość duszy, która czyni człowieka wyższym nad własne namiętności, nad opinją tłumu, która go uczy pogardzać próżnością, zaszczytami, bogactwami, przesądami.

Największym blaskiem w nauce filozofji jaśnieją imiona: Thalesa, jednego z siedmiu mędrców greckich (żył na 640 lat przed Chr.), Pytagoresa (VI w. przed Chr.), Sokratesa (r. 400 przed Chr.), Platona (umarł. r. 387 przed Chr.), Arystotelesa (384—322 pr. Chr.), Epikura (341—270 pr. Chr.), Zenona (V. w. przed Chr.), Cycerona (106—43. pr. Chr.), Seneki (um. 65 r. po Chr.), Marka Aureljusza cesarza rzymskiego (panował od 161 do 180), Abelarda (1079—1142), św. Tomasza z Akwinu (1227—1274.), Bakona (1560—1616), Descartesa (1596—1650), Locke (1632—1704), Malebranche (1637—1715), Fenelona (1651—1715), Bossueta (1627—1704), Kanta (1724—1800), Condikaca (1715—1780) Hegla (1770—1831), i innych.

Nazywają także filozofją systemat postępowania przyjęty przez kogoś. Ztąd idą wyrażenia takie, jak: to cała moja filozofja; albo filozofją poczciwego człowieka jest kochać Boga bliźnich i pracę it.p. Zasady fundamentalne jakiej nauki, sztuki płynące wprost z jéj ducha, nazywają się także filozofją, ztąd mówi się: filozofja historji prawa—mowy polskiej i t.p.

To krótkie objaśnienie, wytłómaczy wam panie Zenonie wyrażenia, o które nas zapytaliście.

— *Pani O. w N.* Pytasz pani o pochodzenie wyrazu *paszkwil.* Z chęcią czynimy zadość jej życzeniu i opowiadamy tu historją tego wyrazu, jedną z ciekawszych w swoim rodzaju. *Paszkwil* po-

chodzi od imienia pewnego rzymskiego szewca, ktory słynął z żarcików często trywjalnych, uszczypliwych i obrażających. Żył on w XVI wieku i nazywał się *Pasquin*. Po jego śmierci dano jego nazwisko pewnemu posągowi znajdującemu się dotychczas na jednym z placów rzymskich, na którym lud rzymski miał zwyczaj przylepiać rozmaite epigramata i pamflety. Nazywano *pasquinadami*.

Za czasów Sykstusa V Papieża (1585—1590 r.), naprzeciw Pasquina stał posąg zwany Marforio. Na Pasquinie miano zwyczaj przylepiać zapytania, a na Marforio znajdowano nazajutrz odpowiedź. Zabawka ta ludowa trwała przez czas bardzo długi.

Ażeby dać przykład tego rodzaju *pasquinad*, przytoczymy tu z nich jedną.

Papież Syktus V. pochodził z bardzo skromnej rodziny. Wstąpiwszy na tron sprowadził on do Rzymu i umieścił we wspaniałym pałacu swoją siostrę, która była prostą praczką. W kilka dni potem zobaczono posąg Pasquina ubrany w brudną koszulę. Następnie na Morforio ukazało się pytanie: „co znaczy podobne zaniedbanie“, w odpowiedzi na co przylepiono znów na Pasquinie napis: „bo moja praczka została Księżniczką.“

Szykany tego rodzaju nic dowcipnego oprócz niedelikatnej alluzji osobistej nie mające, nazywają się *paszkwilami*. Wyraz ten jest sam w sobie potępieniem pisma, które nim nazwane zostało.

ROZMAITOŚCI.

— Gra towarzyska zwana **„Sekretarz”** Przy pracy i mozołach życia, człowiek potrzebuje rozerwać się i zabawić czasem; rzecby można, że praca go nie znuży i ochotniej bierze się do niej wtenczas tylko, kiedy nastąpiła w niej pewna przerwa przez szlachetną zabawę lub rozrywkę. Istota wreszcie towarzyska, przeznaczona do podzielenia się myślami i uczuciem, dąży zawsze do towarzystwa i w niem podobasobie. Dawno już wypowiedziano zdanie, że człowiek się poznaje nie z tego co robi, ale jak się bawi i bardzo słusznie: bo robi zwykle jak i co może lub musi, bawi się zaś zawsze tak jak chce, a chce tak jak jest usposobiony moralnie. Owoż w zabawie najwyraźniej człowiek okazuje się tem, czem jest w gruncie. Ztąd zabawy towarzyskie jakkolwiek na pozór lekkie, mają niezaprzeczenie nie tylko dobrą ale i głębszą stronę i w nich oko postrzegawcze zawsze coś wynajdzie i dopatrzy.

Jest gra towarzyska „Sekretarz.” Gra ta jeśli towarzystwo dobrane, przyjemna i wesoła: żarty, dowcipy, a nieraz i pouczające zdania spotkać tu można—tak znowu, jeśli jaka para złośliwych osób dobierze się, to i żółci poleje się trocha. W każdym razie zabawa ta niewinna w sobie, więcej zawsze warta niż naprzykład gra w karty, która prócz polowania na cudzą własność—zasady zawsze nagannej zabiera bezmyślnie czas i wprowadza czynny i badawczy umysł ludzki w zaczarowane koło szulerskich kombinacij: jaka karta padnie na prawo, a jaka na lewo?... Gra „Sekretarz” zasadza się na tem, że osoby należące do niej, piszą na osobnych kartkach dowolne pytania i te zebrane i zmieszane, rozbierają do odpowiedzi. Po napisaniu odczytują się głośno zapytania i odpowiedzi, umieszczone na każdej kartce. Ponieważ zapytania i odpowiedzi robią się bez podpisu, więc przyłącza się do tego ciekawość: kto dał to zapytanie lub tę odpowiedź? Pomiędzy mężczyznami i kobietami, gdzie jest nieustanna gra uczuć, często uczucia te występują do walki, co także podnosi interes gry.

— **Inwalidzi pracy,** pisze *Gaz. Polska*, szczególniej z klasy najemników rolnych i rzemieślników, są często bardzo na smutną w biedzie starość narażeni. Los ich bywał tu i owdzie przedmiotem rozwagi ludzi wpływowych, ale pomysły wprowadzone niekiedy w praktykę, nieutrzymywały się dla różnych powodów. We Francji państwo zamierza się tem zająć, a dzienniki tamtejsze dają zarysy prawa do tego celu zdążającego, które ma być w życie wprowadzone. Podług tego projektu, każdy robotnik *po złożeniu pewnej kwoty*, stosownej do jego położenia, nabyłby prawa do niekłopotania się o swoją przyszłość, składki będą mogły być albo oddzielnie przez każdego rzemieślnika, lub wszystkich razem w jednym zakładzie pracujących składane. Składki takie nie mogą być wysokie; to też rząd chce, aby przedsiębiorcy w pewnym stopniu przyszli tu w pomoc. Chce także rząd urządzić zabezpieczenie na życie, od lat wieku 16 do 60-ciu, na sumę najwyżej 3000 franków, z opłatą na raty, i niemniejszą jednak jak po 5 franków, czyli po złp. 8 gr. 10.



PODSŁUCHANE GDZIE SIĘ ZDARZY.

(W Kantorze Informacyjnym na prowincji).

Zarządzający kantorem do oficjalisty. Nie możesz być cierpianym w służbie, gdyż bawisz się rzemiosłem niepolecającem wcale... szulerką.

Oficjalista. Proszę pana, ja gram w nocy tylko.

Zarządzający. Właśnie koledzy twoi oświadczyli mi, że przy zielonym stoliku całą cię noc policzkowano.

Oficjalista. E, proszę pana, przecież to krótka noc Czerwcowa!

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.